



O opłatach na rzecz Towarzystw Wędkarskich

Nasz kolega z Zarządu Związku i członek Zarządu Sportowego Tow. Wędkarskich Pomorza Zachodniego w Szczecinku inż. S. Dowhyłuk w Nr 5 Wiadomości Wędkarskich poruszył sprawę opłat na rzecz Towarzystw Wędkarskich.

Sprawa jest pierwszorzędno znaczenia i dlatego zabieramy w niej głos. Chcielibyśmy zastanowić się nad tym, czy opłaty są konieczne, a jeżeli tak, jaka powinna być ich wysokość.

Zagadnienie pierwsze, zdaje się, jest poza wszelką dyskusją. Każde Towarzystwo musi ponosić pewne koszty. Koszty te nie mogą być w wielu wypadkach zastąpione ofiarną pracą członków Towarzystw Wędkarskich. Do takich trzeba zaliczyć opłaty za dzierżawione obiekty, koszt narybku, koniecznego dla obowiązkowego zarybiania dzierżawionych obiektów, poważne koszty przejazdów koleją członków Zarządu Związku Głównego, ich utrzymania podczas podróży, podobnych kosztów członków Zarządów Związków Okręgowych i szeregu innych wydatków.

Gdyby wszyscy członkowie Towarzystw wędkarskich niekierpowani swoimi zajęciami zawodowymi, a co ważniejsze ożywieni chęcią oddania swej ofiarnej pracy dla Towarzystwa gotowi byli współpracować z Zarządem Towarzystwa, wysokość opłat mogłaby być znacznie obniżona. Towarzystwa nie potrzebowałyby wydatkować znacznych sum na organizowanie kosztownej straży rybackiej, na prace konieczne dla zagospodarowania i utrzymania w odpowiednim stanie terenów, — na koszt posiadania koniecznego lokalu, na prowadzenie kancelarii i rachunkowości Towarzystwa i wielu, wielu innych prac. Niestety ponoszenie kosztów jest konieczne.

Jak powiedzieliśmy wyżej wysokość tych kosztów byłaby znacznie niższa, gdyby ogół wędkarzy odczuwał konieczność oddania Towarzystwu swej pracy w granicach potrzeb Towarzystwa i ich możliwości, co jednak w tej chwili nie ma miejsca. Na ogół Towarzystwa wędkarskie żyją kosztem pracy niewielu swych uświadomionych, ofiarnych i społecznie nastawionych członków, — ogół nie wykazuje zbyt

wielkich chęci współpracy. Żeby się o tym przekonać, wystarczy być obecnym na Ogólnych Zgromadzeniach Towarzystw w momencie tworzenia list nowych Zarządów. Jak trudno uzyskać zgodę nowego kandydata, którym trzeba uzupełnić listę wieloletnich członków Zarządu. Nie jest dobrze na polu ofiarności pracy, ale nie tracimy nadziei, że i tu nastąpi poprawa.

Jak powinna być ustalana wysokość opłat? Nasuwają się tu dwa kryteria. Jedno — to potrzeby Towarzystwa. Drugie — możliwości członków. Oczywiście obydwie momenty są ważne, ale pierwszy musimy stawiać na pierwszym miejscu. Jeżeli wędkarstwo sportowe ma zdobyć uznanie w społeczeństwie, a poparcie i uznanie u władz, to musi włożyć wiele starań, ofiarności i celowej pracy w utrzymanie posiadanych terenów sportowych. Teren sportowy tylko w wyjątkowych wypadkach może być gospodarowany dobrze, we wszystkich — wzorowo. Towarzystwo jest użytkownikiem dobra, własności publicznej, a w momencie przyszedłogo przekazywania jej innym użytkownikom lub nowym pokoleniom własnego Towarzystwa, winno ją oddać w lepszym stanie, niż ją otrzymało.

Nie należy ustalać opłat na tak wysokim poziomie, by przystąpienie do Towarzystwa było niemożliwe dla przeciętnego człowieka pracy danej okolicy, ale też nie należy tłumaczyć się tym, że Towarzystwo posiada członków, od których nie tylko nie może pobrać opłat, ale nawet musi za nich opłacać kartę wędkarską. Wędkarstwo powinno być dostępne dla każdego człowieka pracy, ale nie powinno być źródłem pomocy materialnej.

Jeszcze jedna uwaga. — W miarę zagospodarowywania zdewastowanych podczas wojny wód opłaty ustalone przez Towarzystwa Wędkarskie powinny się obniżać, natomiast wśród wędkarzy powinno wzrastać zrozumienie konieczności ponoszenia tych ofiar, bo na ogół, w porównaniu do kosztów zaspakajania innych upodobań, nie są one zbyt wysokie.

Jak należy ustalać wysokość opłat. Przede wszystkim należy wyłączyć opłaty, które nie

mają bezpośredniej łączności z wydatkami organizacji wędkarskich. A więc nie powinna być włączona w sumę tych opłat należność za kartę wędkarską w sumie zł. 60.— Każdy bowiem wędkarz, bez względu na to, czy jest zrzeszonym, czy nie, musi tę opłatę ponieść. Towarzystwo wędkarskie tylko ułatwia wykupienie tej karty. Dopóki nie zostanie wprowadzony obowiązek prenumerowania Wiadomości Wędkarskich przez wszystkich wędkarzy zrzeszonych, należności zł. 300.— za pismo należy również włączać do opłat, pobieranych przez Towarzystwo. Ono tylko ułatwia otrzymywania pisma. Natomiast należy się dziwić, że istnieje bardzo wielu wędkarzy, którzy pismem wędkarskim nie interesują się. Właściwymi opłatami, pobieranymi przez Towarzystwo są te opłaty, które są konieczne dla prowadzonej przez nie gospodarki na terenie, dla administracji, dla utrzymania okręgowej i ogólnej organizacji wędkarskiej.

Towarzystwo układa preliminarz koniecznych wydatków i według niego i w stosunku do ilości członków ustala wysokość opłat. Niewątpliwie wydatki, jak tenuta dzierżawna, koszt zarybienia, utrzymanie straży rybackiej, urządzenia na terenie, pomoc biurowa, składka na rzecz Związku Ogólnego i Okręgowego, to są koszty konieczne Towarzystwa. Dodać należy, że poważną rolę w wysokości opłat odgrywają warunki miejscowe i rodzaj dzierżawionych wód. Składka członkowska powinna obejmować opłatę stałą, zasadniczą i, jeżeli Towarzystwo posiada kilka terenów, oddzielnie ustaloną opłatę terenową dla każdego terenu. Taka opłata terenowa może być inna dla każdego terenu, w zależności od kosztów jego dzierżawy i kosztów zagospodarowania.

Przeciętna wysokość składki 1200 zł. rocznie, t. j. 100 zł. miesięcznie nie powinna być uważana za zbyt wysoką, przeciwnie jest to wartość niewypalonego codziennie jednego papierosa w ciągu roku. Składka może być pobierana miesięcznie, poczynając od początku roku, a w razie przejścia do innego Towarzystwa pobrane

składki mogą być rozliczone z nowym Towarzystwem. Dla niepunktualnych i opieszłych płatników będzie prawdopodobnie stworzona w Związku czarna lista, komunikowana Towarzystwom.

Dla pocieszenia tych, którym nie trafia do przekonania rzucona tu wysokość przeciętnej składki członkowskiej, dzielimy się z czytelnikami następującą wiadomością.

4 września r. b. odwiedził nas p. Jan Preininger, prezes Czeskiego Związku Rybackiego w Pradze, który w ten sposób zainicjował nawiązanie ściślejszego kontaktu z wędkarstwem czeskim. Otóż z otrzymanych od naszego gościa informacji dowiedzieliśmy się, że sposób pobierania składek przez Towarzystwa Wędkarskie w Czechosłowacji jest podobny do naszego. Towarzystwa pobierają składkę zasadniczą i opłaty terenowe i podobnie jak u nas opłatę na rzecz Związku Ogólnego. Opłaty nie są niższe od naszych przeciętnych.

Istnieje jedno ale. Istnieją tam trzy Związki krajowe — Czeski, Morawski i Słowacki, i te dopiero są połączone w jeden ogólny Czechosłowacki Związek Rybacki. Nasz gość p. Jan Preininger jest prezesem Związku Krajowego Czeskiego i Sekretarzem Czechosłowackiego.

Ale — Związek Czeski liczy 100.000 członków, Morawski — 15.000 i Słowacki — 10.000 ogółem 125.000, a my? — około 15.000, a jesteśmy przecież kilkakrotnie liczniejszym narodem.

Jeszcze jedno ale. — Wszystkie wody Czechosłowacji znajdują się w rękach wędkarzy i wszyscy wędkarze prowadzą ścisłą statystykę odłowów.

A teraz ostatnie ale. I my nie tracimy nadziei, że dojdziemy do 100.000 wędkarzy zrzeszonych przy odpowiednim spadku liczby nierzeszonych, przeważnie kłusujących wędkarzy i wierzymy w to, że władze dysponujące obwodami rybackimi nie zmniejszą swej łaskawości w stosunku do wędkarstwa sportowego.

W. Czermiński

Ze wspomnień z nad Cisy

Mimowoli nasuwa się porównanie między Brdą, jedną z najrybniejszych i najpiękniejszych naszych rzek nizinnych, życiodajną i barwną wstęgą Borów Tucholskich i Cisą, opiewanym w pieśni ludowej i poezji węgierskiej wspaniałym, potężnym dopływem Dunaju.

Porównanie to uzasadnia się bogactwem i różnorodnością rybostanu, gdyż pod względem hydrograficznym, częściowo hydrobiologicznym różnią się obie rzeki wyraźnie.

Cisa jest typową rzeką górsko-nizinną, Brda ma naogół charakter rzeki wyraźnie nizinnej. Rybostan pierwszej wykazuje przy całym swym, przysłowiowym bogactwie ilościowym,

dzięki któremu uzyskała Cisa słusznie miano najbogatszej rzeki europejskiej, także fauną wodną charakterystyczną dla zlewiska Morza Czarnego i dorzecza Dunaju, rybostan Brdy jest przy całym swym bogactwie typowym dla rzek należących do zlewiska Bałtyku względnie Morza Północnego. W górnym dorzeczu Cisy, zwłaszcza w rejonie Alp Maramaroskich, gdzie swe go czasu przed pierwszą wojną światową istniały obszerne rezerwy leśne, częściowo także i wśródkowym jej biegu po ujściu Bodrogu, rozpościera się domena łososiowatych — kraina pstrąga potokowego i jego szlachetnych krewniaków — skalnego pstrąga źródlanego, lipienia

i tęczówki. Tam też leżą siedziby głowacicy zwanej łososiem dunajowym, najpotężniejszej po sumie słodkowodnej ryby europejskiej, która u nas znachodzi się co prawda w mniejszych i średnich egzemplarzach, sporadycznie w Czarnej Orawie, w Beskidzie Śląskim, do której wpływa z Wagu po przebyciu zapory wodnej pod Młynem Borowińskim. W środkowej Cisie, poza bardzo bogatym rybostanem, charakterystycznym dla krainy brzany, znajduje się w ilości spotykanej jedynie w wielkich rzekach Z.S.R.R., uchodzących do Morza Czarnego i Kaspjskiego, najcenniejsza ryba z rodziny jesiotrowatych — czeczug (szterlet), której nie ma zupełnie w naszych wodach. Dolna Cisa jest rajem wędkarskim dla łowcy wodnego — kraina leścza i wogóle karpiowatych oraz wszelkich drapieżców wodnych ze szczupakiem na czele i sandaczem (węg. „Fogas“), który ma tutaj wymarzone warunki bytowania i rozwoju oraz osiąga, podobnie jak w wielkim jeziorze Balaton (J. Błotne), górne granice wymiarów i wagi do 15 kg. Nie ma natomiast w Cisie, podobnie jak w innych rzekach, należących do zlewiska Morza Czarnego, węgorza, łososia i troci.

Niezapomniane chwile i przeżycia łowieckie łączą mnie żywymi wspomnieniami z piękną rzeką węgierską.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową miałem wyjątkową sposobność spędzić krótki czas na łowach głowacicy w słynnych podówczas rezerwach lasów państwowych w Alpach Maramaroskich, prawdziwych matecznikach karpackich, których majestat i urok wywierają niezatarte wrażenie.

Najwspanialsze tło łowów wodnych na słodkowodnego łososia; trzon Prakarpat, groźne szczyty z poszarpanymi graniami i przepastnymi urwiskami — Pop Iwan, Brebenieskul, Farchaul, Pietrosul — krajobraz jakby przeniesiony żywcem z granitowych Tatr, tylko morze regli niezmiernie i rzadsze płaty połonin; królestwo piękna i potęgi przyrody, niewysłowionego uroku i grozy zarazem, ojczyzna najtejszego w Europie jelenia, kraina niedźwiedzia, wilka i rysia, gniazda rodzinne orła przedniego i sępa.

I Cisa, a raczej obie siostrzyce — Biała i Czarna, cudna. Setki dopływowych potoków, u ujścia niektórych kłauzy, na zakolach kaszyce z głazów i potężnych smereków, zielono-szafirowe głębie na przemian z kipielaż zwarów, szpoty w skalnych jarach i migotliwa, srebrna przestrzeń skoków.

Przewodnika i opiekuna miałem podówczas niezwyklego. Jakby uwędzony w dymie, z samych tylko kości i mięśni sklecony Karpato-Ukrainiec, właściwie mieszaniec Hucuła, Węgra i Rumuna — Istvan Cebe — Pisztą pokrótce w tamtejszej gwarze przez gajowych i drwali zwany — dozorca kłauzy. Szósty krzyżek nie zgarbił szeroko barków; na tyśej czasce nosił perukę, której kolor dziwnie odbijał od zmarszczonej, wygarbowanej wichrem i słońcem

twarży — pamiątkę po tych czasach, o których lubił gwarzyć, kiedy to za młodych lat wybierał piastuny dla Józefa Habsburga i stoczył przy gawrze, jak ów Sablik z Legendy Tatr bój z niedźwiedzią, która go dokumentnie oskalpowała. Ochotnik sławny, „kiermanyc“ głośny i łowca wodny swoistego, szlachetnego typu. Leszczynowe wędzisko, domowym sposobem w gnójce preparowane, pleciony z włosia sznur wędkowy i babca (głowacza), klonka lub marynkę (brzanekę) na haczyku przenosił ponad samolówkę, sak i oścień.

Na błystki, systemiki haczykowe i kołowrotek spoglądał początkowo z niedowierzaniem i pogardliwym politowaniem, po drugiej czy trzeciej, dobrej głowacicy nabrał respektu i przy pożegnaniu chciał koniecznie odkupić jedną „blaszkę“. Dostał ją w podarunku.

W rok niespełna potem nad matecznikiem maramaroskim zawiśła groza pierwszej wojny światowej.

Dziwną losów kolejną, danym mi było znowu stanąć nad brzegami Cisy wczesną jesienią 1914



Inż. Bialik z Warszawy i 10,5 kg szczupak

roku, tym razem u kresu środkowego jej biegu, spływu Bodrogu, w okolicach słynnego Tokaja. Wtedy to przekonałem się naocznie o przysłowiowym bogactwie rybostanu tej rzeki. W formacji zapasowej pułku, w którym odbywałem służbę wojskową, było kilku wytrawnych wędkarzy i tęgich praktyków, od których wiele

skorzystałem zwłaszcza przy połowie fogasza — sandacza. Tworzyliśmy małe, dobrane kółko wędkarskie. Rozkłady miewaliśmy bajeczne; czasu było dużo, jesień wymarzona, Cisa oraz Bodrog rozrzutnie szczodre, stołownia oficerska i kuchnia żołnierska umiały spożytkować efekty łowów. Łowiliśmy na obrotkę (spinning) i na gruntówkę na drapieże sandacze i szczupaki, na gruntówkę z zanętą grube i kapitalne karpie i najcenniejsze, najbardziej pożądane szterlety na przepływanke.

Nigdy przedtem i potem nie widziałem i prawdopodobnie nigdy nie zobaczę tak wspania-



Z nad górnej Cisy (Alpy Maramaroskie)

łych okazów fauny wodnej. W dole pozalewowym Cisy, obok dużej, zamożnej wsi Rakamasz, w którym ginęły w niewytłumaczony sposób podloty kaczki, złowili tamtejsi rybacy szczupaka wagi około 24 kg. Dwukrotnie przebił jak torpeda matnię i dopiero po umocnieniu jej drutem zdołano wydostać blisko dwumetrową, potężną rybę. W Szerencs, obok Tokaju, widzia-

łem złowionego na mocarną wędę nocną sumopotwora — stukilowego. Tam też przeżyłem — rzadką przypuszczam — dla mnie jedyną przygodę w łowach na szczupaka.

W przepiękny wieczór jesienny, jechaliśmy małą grupką, konno z Rakamasz do odległego o 3 km Tokaju, na szterlety do gospody „Korona Szalloda“, wino i muzykę węgierskich cyganów. Wprost przed nami w blaskach zachodzącego słońca pyszniła się panorama Tokaju, położonego u stóp stoków pokrytych słynnymi winnicami, z prawej ciągnął się przysiółek wsi w rzadkim gaju akacjowym, z lewej bezkresna pułta — wielka nizina węgierska — step — hen aż gdzieś po Debrecin i Kecskemet, dziesiątki, setki kilometrów. Gdzieś tam żurawie charakterystycznych studzien stepowych i stada siwego bydła ściągające do obór wioskowych. Zbliżaliśmy się do mostu nad Cisą, za którym stały już pierwsze domy Tokaju. W łunach zachodu wydawała się potężna rzeka złocisto-różową wstęgą na tle puszczy, o kilkaset metrów od szosy lśniły wielkie „oka“ dołów pozalewowych. Jechałem wpatrzony w krajobraz przepojony najwspanialszą grą światła, w step i rzekę, zlewającą się gdzieś daleko na horyzoncie w jedną, złocistą poświatę z pusztą i nieboskłonem i nagle doznałem wstrząsu. Na jednym z dołów pozalewowych przewinęła się pod garbem wodnym sylweta potężnej ryby i rój drobniczy przysnął tysiącami migotliwych bryzgów i pereł w panicznej ucieczce przed harcującym drapieżką.

Mglisty i chłodny poranek następnego dnia zastał mnie i częstego towarzysza mych wycie-

Nie rozumiem

Mój sąsiad, fryzjer z naprzeciwka, ma gołębie. Czy wiecie co to są gołębie? Pewno myślicie zaraz o tych „gołębiego“ koloru ptakach, zamieszkujących miasta, obsiadających place i ulice, o tej ozdobie miast, która bynajmniej nie ozdobi „dekoruje“ figury i budynki przy budynkach monumentalnych. (Obejrzyjcie kiedy popiersia filozofów na tyłach Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie). A może myślicie o turkawkach, grzywaczach i siniakach przelatujących ze świstem nad wami, kiedy czatujecie przy zastawionych wędach? Nie, nie o te pospółstwo chodzi. Gołębie mego sąsiada to szlachetne, białe lub łaciaste ptaki, które widzimy czasem, jak zataczają regularne koła nad dachami kamienic.

Kiedy, wstając o szóstej rano, spojrzę w okno mego czwartaka, widzę na przeciwległym dachu, jak uwiązana do długiej żerdzi, powiedziały — wędziska, szmatą wymachuje on w powietrzu, zmuszając do zataczania co raz wyższych kręgów. Widzę go tamże, przy tej samej czynności, kiedy o czwartej wracam z biura do domu. Prawie o każdej porze dnia, jego przysadkowata sylweta tkwi na stanowisku za „wędziskiem“ w ręku.

Wróciwszy z urlopu poszedłem do zakładu naprzeciwko, żeby mi obcięto zbyt obficie wyrosniętą nad jeziorami czuprynę. Sam szef mnie zaszczylił osobi-

ście. Wyjątkowo nie tkwił na dachu, tylko w zakładzie. Rozmowa naturalnie potoczyła się o minionym lecie i spędzonych urlopach. Dzwoniąc mi nożyczkami nad głową, fryzjer słuchał relacji o jeziorach i rybach z uprzejmym, ale nieco roztargnionym uśmiechem. Wreszcie zauważył:

„A jednak nie rozumiem, jak można przez całe dni wymachiwać tą waszą wędą, żeby wyciągnąć czasem jakąś tam mędną rybkę“.

Nie odpowiedziałem nic na to. Aby go jednak udobruchać, bo zaczął groźnie szczerkać nożycami przy uchu, zagadnąłem o gołębie. Oczy mu zabłysły, twarz zajaśniała. Strzyżenie trwało o kwadrans za długo. Słuchałem (nawet z uwagą) o „wyszwanach“, „perłówkach“, ich zaletach i narowach. Rozumiałem.

Traf chciał, że tuż za progiem zakładu spotkałem swego przyjaciela filatelistę. Powitaniem jego były słowa:

„Masz co dla mnie?“

Naturalnie, że miałem, bo jednym z warunków naszej przyjaźni było wycinanie dlań znaczków z całej biurowej korespondencji. Tuż na chodniku musiał obejrzeć podane mu znaczki. Długo ubolewał nad znacznikiem węgierskim, któremu niebacznie obciąłem dwa ząbki.

„Że też nie potrafisz zrozumieć, że znaczek bez ząbka jest nic nie wart. Mógłbyś bardziej uważnie operować nożyczkami!“

Ale, że jeden tylko znaczek był tak po barbarzyńsku okaleczony, udobruchał się wreszcie i zapytał:

czek wędkarskich, zawodowego rybaka z okolic Przemysła, nad rozległym dołem pozalewowym. Szmata wody, zarosłymi przesmykami połączony z innymi „okami”, brzegi płaskie, z rzadka zarosnięte krzewami i pojedynczymi drzewami.

Rozstawiłem dwie czy trzy, dziś nie pamiętam, samolówki, długie, jednolite i silne żerdzie, z bardzo mocną plecionką konopną, do tego z mosiężnego drutu kilkakrotnie kręcone przypomy i jasne, duże karaski — mój towarzysz nazywał je bąkami — umocowane nawleczką pod skórę na podwójnych haczykach. Naturalnie spławik odpowiednich rozmiarów, z korka własnoręcznie sporządzony i sznur pilotów. Sam łowiłem normalną chwytkówką z żywcem.

Wschodzące słońce i ranny powiew zwiewały zwolna welony mgły z nad zalewiska. Tu i owdzie wylaniały się otulone mglistym oparem kępy nawodnych traw i połacie czystych lśniących luster wody. Pierwszy dobry szczupak na chwytkówce. Okrążając zalewisko przeszedłem na drugą stronę do towarzysza, który mię wołał chcąc sprezentować grubą sztukę, złowioną na połykówkę. Debatowaliśmy na temat wymiaru i wagi, gdy wtę — rzuciwszy okiem na przeciwny brzeg — ujrzałem, że jedna z mych nastawek samolówkowych sygnalizuje nieomylnie ukąszenie drapieznika wodnego. Dłuższy czas trwało, nim dobiegłem na miejsce. Korek i piloty pod wodą, tegi kij, który umocowałem w kępie łoży w ten sposób, że oparty był mniej więcej w połowie na gipkich gałęziach, przybrał ze skośnego położenia ku górze kierunek skośny w dół i w pewnym momencie pogrążył się szczytem w wo-

dę. Chwyciwszy za rękęję, przezornie umocowaną sznurem do grubszej gałęzi krzaka, starałem się poddać do ostatnich granic sznur. Na nic — gwałtowne szarpnięcie omal nie wyrwało mi ciężkiego wędziska trzymanego oburącz. Oholu nie było mowy, żerdź silna wprawdzie, lecz sztywna, ze stałym sznurem, bez kołowrotka. Nie było innej rady. Licząc na wytrzymałość grubej linki, zaparłem się w miękki grunt i nie zmieniając położenia wędziska, gdyż o tym nie było mowy, rozpocząłem — cofając się wolno w tył — ciągnąć ku sobie niewidzialnego przeciwnika. Siła oporu była tak wściekła, że za każdym cofnięciem się w głąb terenu brzeżnego poddawał się mój korpus ku przodowi i wyciągniętej ramiona z trudem utrzymywały grube, oślizgłe od rosy drzewce rękęję.

Są, co prawda, rzadkie momenty w praktyce każdego wędkarza, że wbrew wszelkim zasadom temperamentu czy uniesienie chwilowe głuszy wszelki głos łowieckiego rozsądku i dwa takie momenty przeżyłem nad rybną wodą. Pierwszy nad zalewiskiem Cisy, drugi znacznie później w łowach na pstrąga na Oporze, w miejscowości Pohoryle, w Bieszczadach. W obu przypadkach doznałem smrotnej porażki.

Zaciąłem zęby, napięte muskuły zaczęły brać górę nad siłą oporu ryby, zwolna idzie... rozkrok w tył... znowu wysiłek fizyczny... i nagle z wody, w odległości kilku metrów od brzegu wyłoniła się potworna, rozwartą puszcza szczupaka, zwinęło się w niesamowitym skręcie wśród zbałwanionej wody potężne cielsko, napięcie urwało się jak nożem uciął i w powietrze nad mą głowę wyleciał sznur, przypon i kawałek czegoś na

„No a jak z urlopem. Pewno znowu jeździłeś na te swoje ryby?”

Na moje potwierdzenie uśmiechnął się z politowaniem i, najwidoczniej chcąc uniknąć rozmowy o moim urlopie, powiedział podając mi rękę na pożegnanie:

„Wiesz, nie bardzo mogę zrozumieć, jak można tyle czasu i uwagi poświęcać rybom. To musi być cholernie nudne, taka dżubanina z haczykami, robakami i temu podobnym”.

W sobotę zatelefonował do mnie kolega z czasów szkolnych. Brakowało mu czwartego do brydża. Muszę przyjść, muszę ratować sytuację. Jak mus to mus — poszedłem. A że jestem punktualny, musiałem czekać na komplet przez dobre pół godziny. Czekając gwarzyliśmy o urlopach. Gospodarz się zachwycał:

„Powiadam ci, w tym roku miałem wyjątkowo udany urlop. Wyobraź sobie, że w Międzyzdrojach zebrała się pierwszorzędna partia. Jakaśmy siadali po obiedzie to szło do trzeciej — czwartej rano. Co dzień. Raz tośmy mieli fenomenalne rozkłady: ja dziewięć karo bez króla, waleta; Skierski osiem pików bez asa, damy ...”

I tak dalej i tak dalej. A ja słucham to się dziwując. To aprobując, to znów oburzając na przemian.

Wreszcie przyjaciel zapytał:

„No a jak z twoim urlopem? Miałaś partię?”

Powiedziałem, że nie, że nawet przez myśl mi nie przeszło, że byłem na Mazurach, na rybach i mieszkaniem w rybackiej chałupie.

„Ach prawda, zapomniałem, że dostałeś bziłka z tymi rybami. Przyznam, że jabym tak nie mógł. Taki przy-

ntyw — rybacka chałupa. Bez partii! W ogóle nie rozumiem, jak można godzinami siedzieć w łódce lub na brzegu. No, ale co ten doktor nie przychodzi, czas byłoby zacząć, bo nie zdajemy trzech kozaczków zrobić”

Ale doktor wnet nadszedł.

W przerwie, podczas kolacji, doktor wyjaśnił powód spóźnienia. Coś mu się tam stało z gablotką na motyle musiał reperować i ani się obejrzał, że już tak późno. Kiedy go zapytałem o kolekcję, zaczął opowiadać o zdobyczach tego lata. Dłużej się zatrzymał na jakimś nadzwyczajnym motyłu, na którego złapanie znalazł sposób:

„Wyszukuje się dróżki wśród krzaków, gdzie przebywają te motyle, smaruje się tę dróżkę roztworem psiego łajna i już po chwili motyli jest aż gęsto — tylko zbieraj!”

Przez grzeczność widocznie zahaczył mnie o ryby Ciekawii go lin. Kiedy wspomniałem o czerwonych robaczkach, skrzywił się i odsunął talerzyk z czerwoną kapustą.

„Nie rozumiem, jak można takie oślizgłe robactwo brać w ręce, gmerać się z tym i nadziewać na haczyki!”

Nie wytrzymałem:

„Przy nadziewaniu na haczyk robaczki nie są oślizgłe, bo się je trzyma przed tym przez pół godziny w ustach, tracą więc cały śluz”.

Kolacja jakoś nagle się urwała, wróciliśmy do brydża. Zdaje mi się jednak, że to ostatni mój brydż w tym skądzie.

Nie rozumiem, dlaczego?

Skan

haczykach, czego nie mogłem w pierwszej chwili rozeznać.

Dłuższą chwilę trwało, nim minął wstrząs i nastąpiło odprężenie nerwowe.

Ogłędziny wędkę stwierdziły, że „bąka“ żywcowego wziął, sądząc na oko, kilowy młodzik — wycinek, którego z kolei zaatakował, lecz nie zdołał połknąć potworny, kanibalistyczny pobratymiec. Na rozdartej części tułowia, która zachowała się na haczykach, znać było ślady potężnych zębów szczupaka.

— Trzeba było rzucić kij, jakem wołał; ale to nic, przyjdziemy po niego z niewodem, — strofował mnie i pocieszał mój towarzysz.

Zbadaliśmy teren, zgruntowaliśmy wodę. Po południu przeciągnie się szwadronowymi końmi puchówkę i sieć, amatorów polowania będzie dużo, woda ciepła jeszcze ... Ale ukuliśmy plan, który nie było nam danym urzeczywistnić. Tego samego dnia ogłoszone zostały alarm i ostre pogotowie marszowe. Korpusy rosyjskie sforsowały przełęcz Dukielską, natarcie szło w kierunku na Homonę, północno-zachodnie komitaty były zagrożone. Wkrótce też przerzucona została nasza formacja zapasowa daleko na południowy zachód, nad granicę styryjską. Cisy już w życiu dalszym nie zobaczyłem.

Franciszek Choynowski

Las leci do wron

Było to tak: Kilku „pstragistów“ (pp. Stroka, Dzikowski, Gołębiowski, Sliwiński), nie mając za dużo czasu i brzęczących środków, na częste wyjazdy w odwiedziny do „górskich pstrązków“, postanowiło wbrew zasadzie, że „wrony muszą lecieć do lasu“, — odwrócić to przysłowie i „las przybliżyć do wron“. Założyli więc w roku 1938 Towarzystwo Wędkarskie „Strumień“ z siedzibą w Krakowie.

Mając dużo chęci do pracy oraz wędziska, a brak natomiast reszty, to znaczy pieniędzy, lokalu no i wód — zaczęli działać.

Gdy wzięli z przetargu rzekę Dłubną (od 1/2 do 2 1/2 m szerokości, około 30 m długości), odległą 14 km od Krakowa, na którą nikt nie miał ochoty, brać rybacka w Krakowie patrzyła na nich z niedowierzaniem. Jednak „ryzycanci“ dobrali sobie jeszcze kilku zwolenników i za ciężko zebrane grosze zaczęli pomalu zarybiać rzekę.

Po kilku latach okazało się, że wyniki są wspaniałe. Wtedy liczniejsze już grono wzięło drugą rzekę Szreniawę (od 1 m do 3 m szerokości, około 40 km długości), w odległości 30



Duży Staw w Karkonoszach

km od Krakowa i powtórzyło swój eksperyment również z bardzo pomyślnym skutkiem.

Okazało się, że „wariactwo” założycieli Towarzystwa stało się podwaliną upowszechnienia tego szlachetnego sportu ludzi ciężkiej pracy, którzy przy braku czasu i pieniędzy mogą sobie pozwolić raz w tygodniu na ten królewski sport.

Obecnie Towarzystwo liczy 50 członków, kilka obwodów rybackich niższych oraz górskich. Ma energiczny zarząd w osobach Preze-

sa Dzikowskiego i skarbnika Stroki (obaj założyciele) i reszty członków fantastycznie kochających swoją Dłubną i Szreniawę, zarybiane w dalszym ciągu corocznie z pieniędzy uzyskanych ze składek i różnych imprez.

Obecnie Towarzystwo będzie obchodziło uroczyste 10 lecie swego istnienia.

„I tak las przyleciał do wron” — a nie odwrotnie.

St. Grelak

Jeziora Mazurskie — rajem rybaków

Z projektowanych czternastu dni danem nam było wykorzystać zaledwie dni kilka. Lecz i te kilka dni pozostawiły niezatarte wrażenie nieosiągalne na naszych terenach.

Ogrom wód, ich głębiny oraz różnorodność

w stronę leżącej u strażnika starej łodzi, którą postanawiamy uruchomić.

Na drugi dzień po doraźnej reparacji i zamalowaniu łodzi, której nawiasem mówiąc zbyttnio nieufamy, wypływamy na jezioro, które już mocno faluje. Tym razem zarzucamy żywcę, a dla urozmaicenia błyskujemy, dzięki czemu zdobywamy kilka ładnych okoni. W międzyczasie mój żywiec szybko tonie, zapowiadając grubszą sztukę, którą po kilku manewrach wciągamy do łodzi. Jest to pierwszy i jak się to później okazało ostatni większy okaz około trzech kilogramów szczupak. Jesteśmy dobrej myśli i czekamy cierpliwie na dalsze i... większe, niestety wiatr stale się wzmaga, a jezioro coraz silniej faluje i porządnie nas huśta. Dochodzi do tego stopnia, że niechęć zakończyć łowów na dnie jeziora zmuszeni jesteśmy wiać, przy czym niewiele brakowało do przymusowej kąpieli. Fala dochodzi metrowej wysokości, słońce zachodząc krwawą luną, nie wróży nic dobrego. Nad ranem budzi nas ulewa, przy akompaniamencie gwałtownego wichru — decydujemy odwrót z myślą najszybszego ponownego powrotu.



Dźwiganie naczyń z narybkiem

gatunków rybich rzadko spotykana gdzieindziej, wielkość i mnogość, dają nadzwyczajne możliwości połowu.

Wycieczkę rozpoczynamy od Pisz, dokąd przybyliśmy po 24 godzinach jazdy koleją, następnie łodzią przez kanał Jagliński do odległej około 8 km śluzy w Karwiku. Po odbiciu od przystani Marynarki Śródlądowej w Pisz, zarzucamy błyski, rezultatem czego wyciągamy kilka okoni przeciętnej wagi około pół kg każdy i jednego szczupaka wagi półtora kilograma.

W Karwiku u progu jeziora Śniardwy, z braku łodzi rozpoczynamy łowienie z brzegu. Po złowieniu kilku pięknych leszczy zaskoczeni jesteśmy niewidzianym dotąd obrazem. W odległości około 50 m w około siłowia, ławice rybiego drobiu fruwały po prostu po powierzchni jeziora uciekając przed żarłocznością szczupaków, sprawiając tym szum wyciąganych sieci. Myśli nasze kierują się odruchowo



Wpuszczanie narybku pstrąga tęczowego do Dużego Stawu

Wszystkim, którzy wyświadczili nam nieodzowną pomoc, składamy na tym miejscu najserdeczniejsze podziękowania.

(M. Święch.)

Zarząd Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich przypomina, że otworzył subskrypcję na II wydanie książki, napisanej przez Feliksa Choynowskiego „Wędkarstwo na wodach polskich”. Książka ukaże się w ciągu najbliższych miesięcy.

Zarząd Związku, pragnie, by wędkarze zrzeszeni w Towarzystwach Wędkarskich, należących do Związku, mogli otrzymać książkę w cenie najniższej, cenie równej kosztom jej wydania. W ten sposób książka byłaby udostępniona dla wędkarzy gorzej sytuowanych materialnie.

Potrzeba takiej książki nie ulega wątpliwości. Dowodem tego są liczne zapytania, kierowane do Związku, czy i gdzie taką książkę można nabyć.

Cena egzemplarza ustalona została na zł 400. Towarzystwa Wędkarskie winny otworzyć u siebie listę zapisów na książkę, pobierając jednocześnie z zapisem po zł 400. Zebrana suma wraz z listą zapisanych osób i ich dokładnymi adresami należy najpóźniej do 1 grudnia

rb. przesłać do Związku, a zebraną przy zapisie sumę przekazać do Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie na rachunek Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich Nr 1212.

Zaznacza się, że na sumę zł 400 ustalona została cena książki w oprawie. Po terminie 1 grudnia rb. książka zostanie przekazana do rozsprzedaży za pośrednictwem księgarń i wtedy cena będzie znacznie podniesiona, co najmniej do zł 700.

Zapisując się na listy zapisów w Towarzystwach wędkarze osiągniecie podwójny cel — otrzymujecie za bardzo niską opłatą książkę o wielkiej wartości sportowej, omawiającej wszechstronnie wszystko, co dotyczy naszego sportu, a jednocześnie dopomagacie tym Związkowi do pokonania trudności, wynikających z konieczności posiadania poważnych środków materialnych dla wydania książki.

Oczywiście Zarząd Związku zastrzega się co do możliwości zmiany podanej ceny, gdyby w trakcie wykonywania druku nastąpiła poważna wyżka cen.

Ochrona gatunkowa szczupaka

Zagadnienie gatunkowej ochrony szczupaka ciągnie się od przestrzeni lat kilkudziesięciu, a podejmowane było z rozmaitych stron i pod różnymi założeniami. W szeregach walczących o ratowanie szczupaka nie tylko nie brak wędkarzy, lecz wprost przeciwnie, wędkarze sportowcy larum podnoszą i cierpliwie i uparcie podnoszą to nie pozbawione dużej doniosłości zagadnienie.

Nie będziemy tu, ani wymieniać, ani przypominać kim i czym jest szczupak w środowisku wodnym i jakie jest znaczenie gospodarcze tej wysoce wartościowej ryby, lecz ograniczymy się do wypowiedzi ogólnych i do tego co nas boli i napawa troską.

Sami podchodziliśmy do zagadnienia ochrony szczupaka niejednokrotnie i to bądź od strony publicystycznej, zainteresowując tzw. opinię publiczną, bądź starając się podejść do mentalności naszego ludu, osiadłego nad uroczymi brzegami Dunajca i jego dopływów. Wspomnę tutaj artykuł „Chrońmy szczupaka”, zamieszczony w marcu 1946 r. w dwuniesięczniku p. t. „Hasło Rolniczo - Orodnicze”, rozchodzącym się w wielotysięcznym nakładzie, a ostatnio wiosną tego roku w Nr 88. „Dziennika Polskiego” pod nagłówkiem — „Szczupaki ciągną na tarło”.

Przechodząc od strony praktycznej do ochrony szczupaka, Towarzystwo nasze regulaminowo zobowiązało swoich członków do przestrzegania podwyższonej przez nas miary ochron-

nej 40 cm i czasu ochronnego do 1 maja. Na apel nasz odpowiedziało pozytywnie kilka bratnich Towarzystw Wędkarskich. Zdajemy sobie sprawę, że zarządzenia tego rodzaju mają za ledwie drobne lokalne znaczenie.

Efekt ich może być minimalny lub nawet pozbawiony praktycznego znaczenia, szczególnie w tych przypadkach, gdy obwody rzeczne Towarzystw Wędkarskich, stosujących ochronę okresową szczupaka, poprzedzielane są obwodami eksploatowanymi przemysłowo, z pełną bezwzględnością.

Zdaniem naszym, jak długo okres godowy szczupaka nie zostanie objęty ustawową ochroną, — tak długo nie można poważnie myśleć o gatunkowej ochronie! Zwiększenie długości ochronnej nie wiele dać może (ostatnio przyznano awans 2 cm). — My obserwujemy, co dzieje się na przedwiośniu! Jak bezwzględnie i z jaką zapalczywością wszystko, co żyje nad dopływami rzek, rzuca się do tępienia tarlaków szczupaka! Szczupak w tym okresie wciska się do rozmaitych strug wodnych, rowów odwadniających, często nawet tylko przejściowo wypełnionych wodą, aby w tych właśnie, sprzyjających miejscach, — odbyć swój obrządek rozrodczy.

Nie będę opisywał narzędzi, używanych w tym okresie do tych amatorskich „łowów”, ale jakże powszechnie „narzędzia” te przypominają batogi i widły.

Pilnuje bacznie tego okresu tzw. rybak za-

wodowy. — Sieci, czerpaki, saki, wężerze, — wszystko jest zmobilizowane. Wszystko jest w użyciu i ruchu!

A w oknach jadalni pojawiają się tabliczki: „dziś szczupak w polskim sosie“. Jest to widoczny i pewny znak, że szczupaki ruszyły na tarło...

Wdzięczni jesteśmy za poruszenie tego tematu autorowi artykułu „W obronie szczupaka“ ogłoszonego w Nr 6 W. W.

Trzeba tą sprawę często i z uporem przypominać.

Arch. B. Kulka prezes P. T. S. W.
Tarnów.

Żarłok



Rybka z perłowej masy

Ciężkie, ołowiane chmury zaścieniały niebo. Szumiały jednostajnie i monotennie wzburzone wody jeziora.

Siekący deszcz, niesiony porywistym wiatrem siał spustoszenie wśród przybrzeżnych trzczin i sitowia.

W czasie tak nieprzychylnych warunków atmosferycznych, nasz „Żarłok“ zdecydował się zatrzymać na głębokiej wodzie, przy samym dnie, w pobliżu gęstej roślinności.

Żołądek jego dopominał się natarczywie pokarmu. Od wczorajszego wieczora bowiem nic nie upolował. Nic więc dziwnego, że przewrażliwione miał zmysły i każde poruszenie się nieoczekiwane, otaczającego go żywiołu działało na niego, jak silne wyladowanie elektryczne.

Wreszcie dostrzegł małą rybkę, spieszenie uciekającą ku brzegowi i szukającą schronienia w sitowiu. Miała ona niespotykany dotąd wygląd. Ciało jej mieniło się wszystkimi kolorami tęczy, a rubinowe oczy dziwnie przyciągająco błyszczały.

Pomknął, jak strzała za rybką, trzymając się jednak z rezerwą, w pewnej od niej odległości. Obserwował uważnie i podziwiał rybę, pływającą w sposób zupełnie odmienny, niż dotąd spotykane jego liczne ofiary. Krążyła chwiejnie wokół swej osi, posuwając się ruchem jednostajnym naprzód. Ileż wkładała w to wysiłku. Jak zwinnie poruszała się czerwona, jak krwista plama, jej płetwa ogonowa.

Goń, dopędź! — rozkazywały oczy. Chwytaj! — wołał głodny żołądek.

Pierwszy atak nie powiódł mu się, mimo, że usiłował ją schwycić w poprzek, w sposób stale przez niego, dotąd z powodzeniem, praktykowany.

Zmienił więc taktykę i dopadł ją od ogona.

Wraz ze zwarciem swych szczęk poczuł ostre kolce, ramiące język.

Jakże kłamały jego oczy, uwiedzione piękną barwą ofiary? Jak dziwnie miała twarde i niesmaczne mięso?

Próbował ją przełknąć. Daremnie! Niepozorna rybka coraz mocniej trzymała się mięsistych części pyska.

Wszelkie usiłowania jej zmiażdżenia wywoływały coraz większy ból.

A próba ucieczki „Żarłoka“ w kierunku jego kryjówki, została natychmiast zlikwidowana. Nie dość na tym, ta mała rybka ośmieliła się



W drodze często zmieniano narybkowi wodę

coraz dotkliwiej kąsać i nawet prowadzić go w przeciwnym kierunku.

Szczupak nie zrezygnował z walki. Pomimo przeszywającego bólu stawał zacięty opór. Nurkował kilkakrotnie w kierunku dna lub zataczał wokoło kregi. Skręcał się, jak piskorz.

Bił ogonem o wodę. Nie szedził sił, abv tylko uwolnić się od potwornie silnej, tak małej rybki z perłowej masy.

Może los łaskawszy był dla niej.

To nie szczupak prowadził małą rybke, to ona holowała „Żarłoka“, ku światłu i falującej powierzchni wody.

Rybka z perłowej masy odbiła się od wody, skacząc w górę, pociągając za sobą szczupaka.

Obcy żywioł kłui boleśnie oczy, rozsadzał skłenienie czaszki „Żarłoka“.

Wszystko przesłaniała gęsta, czerwona mgła.

Płetwy i ogon w nowym otoczeniu nie znajdowały oporu.

Woda nie omywała już skrzeli.

Za chwilę znalazł się w łódce. Wykonał kilka skoków i legł, jak martwy, wyczerpany długotrwałą walką.

Pochylił się nad nim tokarz, uiał go delikatnie w swe kościste palce i uwolnił od żądeł rybki z perłowej masy.

Objął go dłonią i jakbv ważyć jego ciało, do siebie wszeptał: ty mały smyku, nie ważysz nawet kilograma.

Następnie staruszek wviał scvzoryk, odciął mu kawałek płetwy grzbietowej, po czym wspaniałomyślnie wpuszcł go z powrotem do jeziora. Żwcząc sobie jeszcze jednego spotkania z „Żarłokiem“, za lat kilka.

Podobne uczucia ovladnęły Żarłokiem, jak tego dnia, kiedy wypadł z dzioba czapli do wody.

W pierwszych chwilach, kiedy znalazł się wśród swego żywiołu, był tak oszołomiony ostatnimi przeżyciami, tak wyczerpany obrona, że legł na boku i płynął pod samą powierzchnią wody.

Ten stan minął jednak szybko. Poruszył kilka razy ogonem, jakbv próbując swych sił i znikł w głębinach jeziora.

Ostatnia przygoda z rybka z perłowej masy spotęgowała podejrzliwość „Żarłoka“ i wzbogaciła jego doświadczenie.

Wszechświat niewwyczerpany był w swych przykrych niespodziankach.



Zapadał zmierzch...

Ognista tarcza słoneczna małostatycznie groziła się w szarej tafli jeziora.

A gdy słońce zanurzyło się całkowicie, promienie jeszcze przez chwile rozjaśniały górne warstwy wody, rzucając blaski podobne, gdy olej rozlany płonie na gładkiej powierzchni zwierciadła.

Noc układała swe ciemno - granatowe szaty.

Czarne, długie cienie przybrzeżnych drzew zleżały do snu na wodzie.

Wszelka drobniaczka zapelniła trzciny i sitowia.

Drapieżne szczupaki zaprzestały łowów i żywały w swym ukryciu spoczynku.

Inne teraz życie rozpoczynało się w wodach jeziora.

Oto mały rak wypełził ze swej kryjówki i ostrożnie, powoli czołgał się po dnie. Przybył zdala, gdzie mieszczą się skały podwodne. Teraz wędrował przez piaszczystą równinę ku brzegowi, za żerem.

Ten mały „korsarz“ (takie imię nosił wśród swej rodziny), cały zakuty był w pancerz.

Może i słusznie nosił on przewisko „korsarza“, bo otwór jego paszczy, zresztą jak i innych raków, był uzbrojony, aż w dwie pary szczek, parę żuwaczek i trzy pary szczekonoży.

Przy tym pierwsza para nóg tułowich zakończona była olbrzymimi nożycowatymi kleszczami.

„Korsarz“ posuwał się po dnie zawsze z napół otwartymi kleszczami, dla zapewnienia sobie szybkiej akcji zaczepnej...

Wtem, zgola nieoczekiwanie czółki uprzędziły go o grożącym mu niebezpieczeństwie.



Wóz z pstrągami dojeżdża do schroniska YMCA

„Korsarz“ zagarnawszy wodę wachlarzowatą płetwą ogonową, wykonał skok do tyłu. Następnie krocznymi nogami wznosił natychmiast wokół siebie chmurę z łu i rozpoczął odwrót pod jego osłoną.

Alarm spowodowany przez czółki, był fałszywy. Widocznie nie była to, ani wydra, czy też szczur — odwieczni wrogowie raków.

Zaprzestał przeto smagania wody ogonem i rozpostarłszy wachlarz, spoczął na dnie. Przez chwilę baczenie i dokładnie dotykał czółkami wszystkiego wokoło, dopóki się nie upewnił, że istotnie nic mu nie zagraża.

Następnie z całym spokojem ponowił wędrówkę.

Matka „korsarza“ była kiedyś starą i tak zapasioną samką, że z ledwością mogła pływac i najchętniej pełzała wokoło swej krywki. Rok rocznie w miesiącu listopadzie dobierała sobie oblubieńca, z którym współżyła krótko, tylko przez okres godowy. Jak tylko minęły dni słodkiego upojenia, porzucała męża. Zagrzebywała się w pierwszej napotkanej jamie, czy też szczelinie i tam spędzała całą zimę, czekając ciepłych promieni wiosennego słońca i ukazania się białych lilii, — zwastunów narodzin jej licznych dzieci.

A kiedy nadszedł upragniony dzień wlegu jajeczek, uczepionych tuzinami do nóg odwłokowych, wypełzały spod niej gromady małych stworzonek, będących wiernym odbiciem rodziców, różniąc się od nich tylko wymiarami.

Małe nie opuszczały nigdy matki. Trzymały się pazurami jej odnóży. Często prowadziły między sobą zaciekłe wojny.

W tym to okresie zadaniem matki było nie tylko karmienie zgłodniałej czeredy, ale i uchronienia jej przed licznymi wrogami.

Zawdzięczając więc jedynie swej zapobiegliwej matce „korsarz“ beztrudnie przeżył okres swej pierwszej młodości.

Nie zaznał w tym czasie nigdy uczucia głodu.

Matka zawsze wyczuwała instyktownie potrzeby swych dzieci i w porę potrafiła zgromadzić, pod swym odwłokiem, dosyć pożywienia.

W jedną z nocy pochmurnych matka wraz z „korsarzem“ została schwycona w sieć, w której znajdowała się, jako przynęta — wątroba.

W chwili, kiedy „korsarz“ łapczywie napełniał swój żołądek, sieć została uniesiona do góry, a „korsarz“ wypadł z powrotem do wody, przez oko siatki.

Niestety w sieci pozostała jego matka.

Oto w jaki sposób stracił on przedwcześnie swą żywicielkę i opiekunkę, chociaż według niezmiennych praw natury mógł korzystać jeszcze przez szereg tygodni z gościnności swej rodzicielki.

W dniu, kiedy jego matka czerwona, jak homar, pięknie przystrojona zielenią spoczywała na półmisku, pośród innych raków, jej syn — sierota rozpoczął samodzielne życie.

Był już do niego dostatecznie przygotowany. Miał silne szczęki. Potrafił posuwać się wprzód i w tył. Zdążył się już nauczyć, kiedy, gdzie i jak należy szukać pożywienia.

W tym miał jeszcze tylko dostatecznego doświadczenia życiowego. Ale to ostatnie, jak i w naszym świecie, przychodzi tylko z upływem czasu.



Minęły trzy długie zimy..

W czasie tego okresu przebrnął „korsarz“ szczęśliwie przez wiele niebezpieczeństw.

Każdego lata musiał zmieniać swój strój chitynowy, stawał się on bowiem za ciasny dla jego ciała.

Przeżywał wtedy wraz z innymi rakami dni głodu i cierpienia.

Pierwszymi oznakami, rozpoczynającego się procesu linienia, był silny niepokój, wśród całej rodziny tych skorupiaków.

Żaden z nich nie ważył się wtedy, przed zapadnięciem ciemności, wychodzić ze swej krywki.

Z kolei opanowywała raki nieprzewyciężona potrzeba pocierania swym pancerzem o twarde przedmioty.

Pozbycie się swej szaty wymagało usilnej pracy wszystkich mięśni.

Zmagania te trwały przez szereg dni.

A przerwanie tych bolesnych zabiegów groziło pozostaniem w starym pancerzu — śmiercią głodową.

„Korsarz“ posiadał młode, silne mięśnie i przeto należał do grupy raków najszybciej pozbywających się swej skorupy.

Wszystkie czynności, zmierzające ku temu jednemu celowi wykonywał kolejno i w sposób następujący:

Naprzód przewracał się na plecy i pocierał pancerzem o kamienie tak długo, aż powstała w nim szczelina.

Następnie z rozwagą przyciskając skorupę do szorstkiego dna wysuwał się z niej, do tyłu.

Pierwsze odrywały się oczy, później nóżki, szczękonoże, nogi kroczone i wreszcie reszta tułowia.

Wszelki pośpiech, każdy ruch gwałtowny przy opuszczaniu pancerza z łatwością mógł spowodować w następstwie uszkodzenia członków — trwałe, lub częściowe kalectwo.

Szczęśliwie zakończenie linienia oznaczało początek odrodzonego życia.

Kraina łowów stawała się dostępną. O zmierzchu można było wyruszyć na poszukiwania żeru, nasycić łaknący żołądek, wzmocnić schorowane ciało...



Ucichł świergot płaków. Odezwały się świerszcze. Nad jeziorem zawisła lepka mgła.

Zmierzch wieczorny zlewał w jedną bryłę przybrzeżne drzewa i zarośla.

Zastygły niespokojne dotąd wody jeziora. Na powierzchni jego nie można było dostrzec kwiatów, ani roślin.

W głębi, na miękkim podłożu dna, pod kawałkiem przegniłego drzewa, ziewając swymi szerokimi muszlami, spoczywała skójka.

Dotknięcie jej mięsistej nogi, przez nożyce raka wywołało odruchowe zamknięcie się muszli skójki.

Niestety zapóźno!

„Korsarz“, w ostatniej chwili, zdążył usadowić w jej ciele jedną ze swych par kleszczy.

Wkrótce na tyle miał już wolnego miejsca, że zdołał wsunąć drugą parę kleszczy.

A wtedy, podczas gdy jedna para nożyć od-

grwała rolę klina, druga odrywała kawały mięsa i wkładała je do otworu gebowego.

Po uczcie powrócił „korsarz” do swej nory i tam spędził całą noc.

Rankiem wyruszył znów na łowy.

Jednak tym razem szczęście nie dopisywało mu wcale. Nie spotkał ani jednej małży.

Wracając z nieudanych łowów, w jednym z przesmyków podwodnego wzgórze, dostrzegł istotę żwą — rybę, mięsa której jeszcze nie próbował.

Rybka ta był „Żarłok”, spoczywający nad samym dnem jeziora.

„Korsarz” staczał dotąd walki tylko z mięczakami. Potrafił zmiążdżyć i pożreć słabszego od siebie raka. Nie znał jednak jeszcze sztuki atakowania ryb.

Rybka nie podobna była przecież do szczeżuj, skójejk czy zatoczków. Na jej grzbiecie bez przerwy falowały płetwy. Poruszała od czasu do czasu swym wydłużonym ogonem.

Pomimo tego, „korsarz”, używając forteli, nabitych w ciągu swego żywota, podpełz pod sam tułów „Żarłoka” i uniósł swe nożycowate kleszcze do gór, oczekując okazji do ataku.

Był przy tym tak przeczorny, że opuścił swe różki, by nie spłoszyć ofiary.

„Żarłok” czuł się źle. Miał poszarpane usta i każde rozwarcie szczęk sprawiało mu silny ból.

Z tych więc zapewne przyczyn wybrał zaciszne miejsce, wśród podwodnego pasma górskiego, by wygoić swe rany.

Delikatne dotknięcie podbrzusza „Żarłoka” nie wzbudziło w nim żadnych podejrzeń. Tyleż razy ocierał swe ciało o rozmaite wodorosty.

I dopiero ostry ból, w okolicach nasady płetwy ogonowej, przypominający do złudzenia ucisk ostrego dzioba czapli, zmusił go do szukania ratunku w ucieczce.

Ten manewr nie przyniósł mu jednak spodziewanej ulgi.

„Korsarz” trzymał się mocno tułowia szczupaka jednym ze swych kleszczy, usiłując wbić drugi. W czasie tej nieoczekiwanej podróży, ze wszystkich swych sił, wiosłował swą płetwą ogonową, w przeciwnym do jazdy kierunku. Do tak zawrotnej szybkości nie był przyzwyczajony.

Pragnąc osadzić ofiarę na miejscu, wolnym dotąd kleszczem, „korsarz” uchwycił łodygę rośliny.

Nie przewidział jednak oplakanych dla niego skutków: utracił parę nożyc i zmuszony został do przzerwania walki ze szczupakiem.

Oswobodzony od intruza „Żarłok” nie zamiechał ucieczki.

Żwio miał w pamięci niedawną przygodę z rybką z perłowej maszy i tak niewinne w początkach, muśnięcie rośliny.

Jednak świat podwodny niewyczerpany był w swych niespodziankach.

(d. c. n.)

(przekład z duńskiego)

Niestarzejąca się książka

Najbardziej klasycznym krajem sportu wędkarskiego jest Anglia. W kraju tym sport wędkarski rozwija się od bardzo dawna, a w równym poszanowaniu jest pstrąg lub łosoś jak i zwykła płotka. Odpowiednio do umiłowania tego sportu rozwija się i literatura wędkarska. Zyskały sobie w niej sławę takie nazwiska jak Izaak Walton, Francis Francis, Frederic Halford i wielu innych. A co ważniejsze, że literatura ta rozwija się od bardzo dawna, — od kilkuset lat.

W tym artykule chcę nieco powiedzieć o najstarszej angielskiej książce wędkarskiej, napisanej w 1653 r. przez Izaaka Waltona. Autor urodził się w małym miasteczku Stafford w Anglii w 1593 r. Po przejściu odpowiedniej nauki, czy terminu zakłada w Londynie sklep z artykułami żelaznymi. Dzięki swemu dwukrotnemu małżeństwu jest w kontakcie z wieloma przedstawicielami duchowieństwa angikańskiego, co niewątpliwie ma wpływ na jego stronę duchową. Pisuje wiersze, a od czasu do czasu jakieś większe dzieło, najczęściej w formie opisu życia i czynów różnych osób. Umarł w 1683 r. w wieku lat 90.

Napisana przez niego książka nosi tytuł „Wędkarz doskonały”. Za życia jego książka była wznawiana w pięciu wydaniach, ostatnie w 1676 r. Każde z tych wydań było uzupełniane nowymi dodatkami, nowymi uzupełnieniami. A że książka nie straciła z czasem na wartości dowodzi to, że w 1888 r. ukazało się jej setne wydanie, w strojnej szacie, upiększone różnymi fotografiami i grawiurami.

Ostatnie wydanie tej książki, które ukazało się za życia autora, zawiera 12 rozdziałów innego autora. Izaak Walton był wędkarzem wód nizinnych, wędkarzem gruntowym, obcą mu była sztuczna mucha. Otóż inny entuzjasta sportu wędkarskiego, znawca wędkarstwa muchowego Charles Cotton, młodszy od Waltona o 37 lat, zaproponował mu uzupełnienie jego dzieła tym działem sportu. Na marginesie tego zdarzenia trzeba dodać, że w tym czasie i w tym kraju nie było antagonizmu między wędkarstwem muchowym i wędkarstwem nizinnym.

Nieśmiertelna wartość tej książki nie leży w zebranych w niej metodach połowu różnych ryb, używanych przynętach i różnych wska-

zówkach, choć one mają swoją wartość, — a w tchnącym z każdej stronicy umiłowaniu piękna przyrody. To nie samo łowienie ryb przedstawia wartość, a połączenie łowienia z obserwowaniem przyrody, to kontemplacja wobec cudów otaczającej wędkarza natury.

Książka jest napisana w formie rozmów. Już wtedy wędkarze czuli w stosunku do swych kolegów wędkarzy pewien sentyment, jak to widać z zamieszczonej w książce odpowiedzi wędkarza. — Jestem kawalerem z pod znaku wędziska, a więc wrogiem wydry, a ponieważ, jak możecie zauważyć, my wędkarze odczuwamy w stosunku do innych wędkarzy duży sentyment, a zatem nienawidzę wydry w swoim imieniu i w imieniu wszystkich z pod mego znaku.

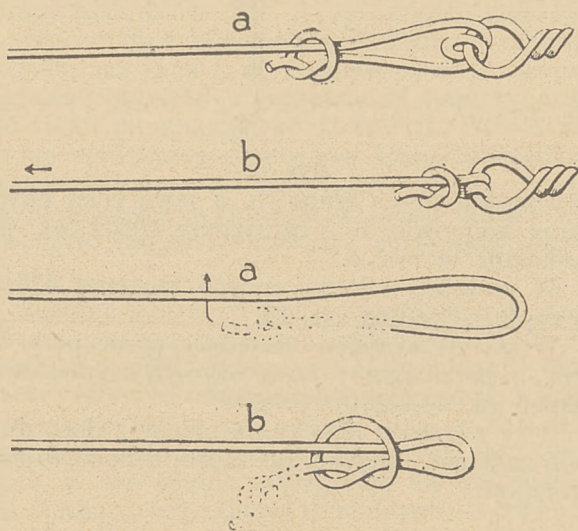
Książka jest przeplatana w wielu miejscach poezją.

Odkładamy na kiedyindziej zaznajomienie czytelnika z treścią jednego z ustępów tej książki. Na zakończenie wyrażamy wielkie pragnienie, by z czasem i nasza literatura wędkarska mogła pochwalić się kilkunastoma, jeżeli nie setką wydań książki, która może ukaże się w przyszłości i będzie o usprawiedliwiającej to pragnienie wartości. Na razie całym naszym wysiłkiem, wysiłkiem wydawców i wysiłkiem czytelników, zmierzajmy do urzeczywistnienia drugiego wydania naszej prawie jedynej książki F. Choynowskiego „Wędkarstwo na wodach polskich“.

W. Czermiński

W ę z ł y

Rys. 14 wskazuje inny rodzaj wiązania pętli na sznurze oznaczonym lit. b za pomocą końcówki (a).



Rys. 14 i 15.

Jeśli pragnie się ten węzeł zastosować do przywiązania haczyka z uszkiem, karabińczyka, należy postąpić w sposób wskazany na rys. 15.

Dla pewniejszego umocowania dwukrotnie przeciąga się linewkę przez uszko, dociąga się ją do oporu i następnie wiąże się węzeł, zamieszczony na rys. 15 lit. b.

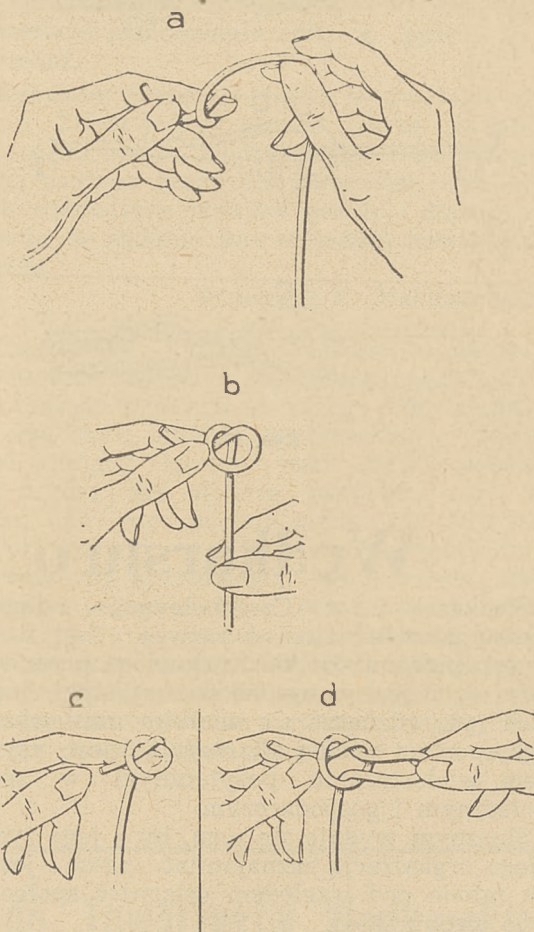
Supel ten ma te zalety, że łatwo się ślizga i przeto bez wielkiego wysiłku może być rozwiązany.

Inny sposób wiązania wskazuje rys. 16. Należy przy jego stosowaniu zwrócić uwagę, że

najprzód przewleka się np. przez karabińczyk, a dopiero później go się wiąże.

Można go stosować przy umocowaniu linewki na kołowrotku.

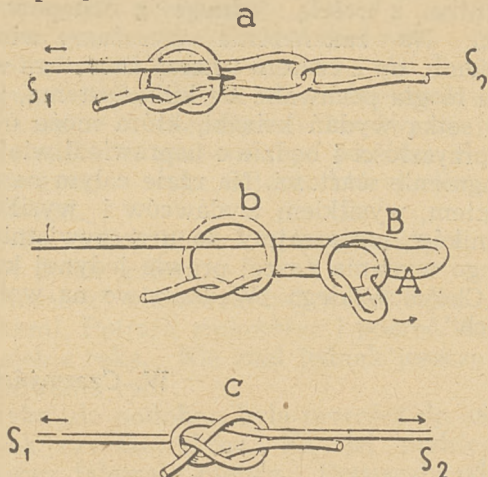
Łatwo z wyżej opisanej przesuwalnej pętli przejść do pętli wiązanej na stałe, jak to uwidocznione jest na rys. 17.



Rys. 18.

Węzeł powyższy, jest niczym innym jak podwójnym węzłem podanym na rys. 16.

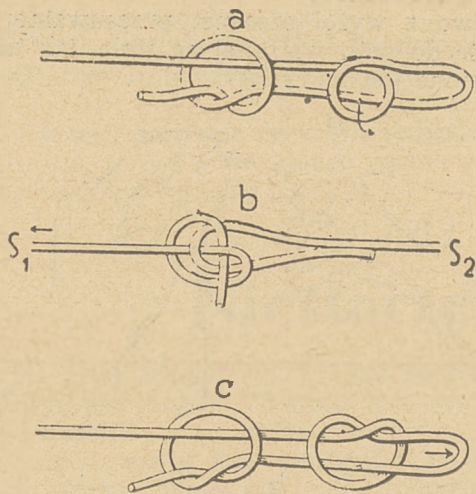
Do połączenia dwóch linewek możemy sto-



Rys. 16.

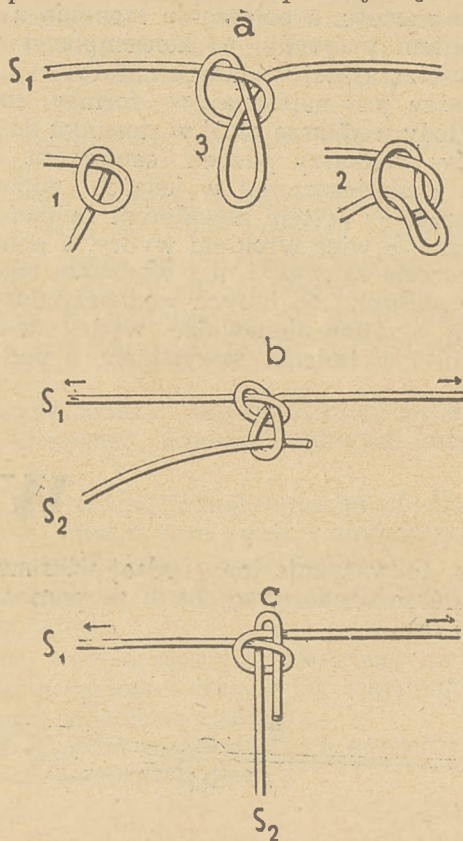
ować z powodzeniem również węzła (16) w sposób wskazany na rys. 18.

Na sznurze S_1 wiążemy węzeł wyżej opisany



Rys. 17.

i przez jego pętle przeciągamy końcówkę drugiego sznura oznaczoną lit. S_2 . Następnie umiemy palcem i kciukiem prawej ręki pętlę



Rys. 19.

utworzoną przez sznur S_2 , a lewą ręką chwytamy końcówkę S_1 i zaciągamy węzeł tak, jak wskazuje to rys. c.

W podobny i łatwy sposób możemy wiązać przypony, według rys. 19.

Wiążemy węzeł, a następnie przez pętlę na rys. b przeciągamy końcówkę S_2 i zaciskamy supeł, jak wskazuje rycina c.

Przy wiązaniu tego supełu należy z dość dużą siłą zaciągać linewkę, do której umocowujemy przypon.

Wędkarstwo w Czechosłowacji

Wędkarstwo w Czechosłowacji osiągnęło bardzo poważny stopień rozwoju. Jest bardzo zdyscyplinowane, bo każda złowiona przez wędkarza ryba jest wniesiona do statystyki złowionych ryb, odznacza się wielkim umiłowaniem tego sportu i wielką ofiarnością, jest czynnikiem wielostronnie pożytecznym w sensie społecznym i gospodarczym.

Słusznym wydaje się nam, by z jego życiem i jego organizacją zaznajamiać nasze jeszcze tak młode pod względem osiągnięć społeczeństwo wędkarskie.

Przemówienia na zorganizowanym przez Związek Rybacki Czechosłowacki wieczorze

informacyjnym ujęte zostały w ładnie wydanej książeczce, skąd czerpiemy prawie w całości przemówienie Vaclava Olmera, krajowego, czeskiego gospodarza rybackiego.

Dla informacji dodajemy, że rybactwo czechosłowackie zorganizowane jest w Czeskosłowackiej jednocie rybackiej, która składa się z 3 sekcji — wędkarzy, którzy mają w swoim posiadaniu rzeki, rybaków stawowych i wylęgarnie. Dodać należy, że w swej terminologii nie rozróżniają wyrazu rybak od wędkarza.

Rybactwo rzeczne, mówi p. Olmer, jest w obecnych czasach przeważnie rybactwem sportowym, które w ciągu ubiegłych 30 lat znacznie

rozszerzyło się wśród najszerszych mas ludności. Lud znajduje w tym sporcie nie tylko uspokojenie swych nadwyreżonych nerwów, ale i cenny dodatek do wyżywienia — rybę. Sport rybacki *nie może być organizowany tylko pod względem sportowym, ale i to głównie pod względem gospodarczym* czem się głównie wyróżnia w porównaniu z innymi sportami. Jeżeli woda pływająca nie jest racjonalnie zarybianą, straci na swej sportowej i gospodarczej wartości. Z powyższego wynika, że ten komu powierzono sprawę wody bieżącej, musi w pierwszej linii stosować się do zasad dobrego gospodarza. Sportowiec tylko sprząta to, co gospodarz rzeczny wyhodował.

Gospodarować na wodach bieżących znaczy — po za innymi obowiązkami — zarybiać powierzoną sobie wodę odpowiednią obsadą rybną. Z powodu znacznych rozciągłości wód bieżących zachodzi potrzeba i to znaczna — odpowiedniej ryby obsadowej. W przyszłych latach będzie rybactwo rzeczne głównym odbiorcą produkcji obsadowej ryby z naszego gospodarstwa rybnego, a to z zakładów sztucznych wylęgarni ryb.

Zadania położone na gospodarstwo rybne z natury rzeczy zmuszą do najściślejszej współpracy hodowców ryb z rybactwem rzecznym i sztucznymi hodowlami ryb. Tylko wzajemna współpraca tych 3 czynników pozwoli wypełnić plan dwuletni i doprowadzić nasz rybostan do stanu przedwojennego w całości. Nowostworzone zjednoczenie rybaków Czeskosłowackich przez zjednoczenie wszystkich trzech wyżej wymienionych czynników w jedną całość wytworzyło najlepsze warunki korzystnej współpracy.

Rzeczne rybactwo jest przygotowane do spełnienia powierzonych mu zadań. Działacze rybackich spółek, towarzystw i samostni działacze, ze swym ukochaniem tego sportu i przyrody poświęcają całkowicie swój wolny czas na zagospodarowanie powierzonych im obwodów. W ten sposób zaoszczędza się dość znaczna liczba pracowników oficjalnych — mam na myśli zakłady państwowe — dla ich właściwego przeznaczenia.

Wszelkie jednak ich starania byłyby bezowocne, gdyby się nie zapobiegło niszczeniu rybostanów przez odpływy wód fabrycznych, i o ileby się nie przeszkodziło wydzielaniu z obwodów skrzętnie zarybionych przez rybaków pewnych odcinków. Tworzenie enklaw w obwodach rybackich jest ze szkodą racjonalnej gospodarki. Niestety dużo tych niezdrowych objawów jest spowodowanych przez miejskie

radę narodowe, które mylnie pojmują swoje obowiązki w stosunku do całości gospodarki i bardzo często zmniejszają przez to korzyści własnej gminy. Usunięcie tych zasadniczych przeszkód w dobrej gospodarce na wodach bieżących lub przynajmniej wydatne zmniejszenie ich szkodliwości jest także celem planu dwuletniego. Społeczeństwo rybackie (wędkarskie) przyjmie z pełnym zadowoleniem wiadomość o utworzeniu komisji celem opracowania wniosku odpowiedniego do ogólnokrajowej ustawy rybackiej. W stosunku do zakładów fabrycznych niszczących owoce naszej pracy wystąpią administracyjnie urzędy gospodarstwa wodnego. Potrzebne zgłoszenia w szkodliwych odpływach poszczególnych zakładów zostały już zebrane i w krótkim czasie przystąpi się do usuwania tych przeszkód.

Na zasadzie ustawy z r. 1942 przystąpi się do budowy odłówek węgorzowych, a dochód z nich przeznaczony zostanie na cele zarybieniowe.

Dalszym zadaniem gospodarzy rzecznych jest w ramach współpracy ze stawiarzami propaganda sprzedaży ryb. W czasach przedwojennych tylko nieznaczna część produkcji naszych stawów znajdowała zbyt w prowincjonalnych miastach. Obecnie będzie zadaniem spółek, w których nie ma fachowych rybaków, urządzać baseny rybne, aby w ten sposób umożliwić składowanie ryb, a przez to ich sprzedaż.

Rybaków rzecznych czeka w dwulacie wiele pracy. Znam jednak bardzo dobrze ich zamiłowanie do sportu wędkarskiego i do przepięknych naszych rzecznych obwodów, *ich ofiarność nieznaną żadnym granicom*, dlatego też wierzę, że zadanie swe wypełnią nawet z nadwyżką.

tlmaczył R. Maksymowicz

Czyż trzeba lepszego świadectwa na to, by udowodnić społeczne korzyści, płynące z najdalej idącego poparcia rodzącego się u nas na szerszą skalę sportu wędkarskiego. Sąsiedzi nasi, znający istotny stan rzeczy, posiadają już dzisiaj tak dobrze zarybione wody bieżące, jak my pewnie nigdy nie mieliśmy, tylko dzięki wysiłkom zdyscyplinowanego wędkarstwa sportowego. Wędkarstwa stanowiącego jedną wielką i dobrze żytą rodzinę, bez względu na sposób uprawiania tego sportu i rodzaj gospodarowanych wód. Mając tak dobrego przykład u najbliższych naszych sąsiadów. Władze nasze powinny stoczyć jaknajczulszą opieką powstający u nas ludowy sport wędkarski.

WĘDKARZE! Zapisujcie się do Towarzystw Wędkarskich

Spinning

Piękna ta metoda wędkowania zyskała sobie z czasem pełne prawo obywatelstwa u nas a z każdym dniem zdobywa coraz nowszych adeptów tej sztuki. Niestety, uboga nasza literatura wędkarska, nie podaje wyczerpująco zasad prawidłowego spinningowania, prócz dzieła naszego mistrza Chocynowskiego „Wędkarstwo na wodach polskich“ wydanego prawie dziesięć lat temu, a więc siłą rzeczy nie uwzględniającego pewnych nowych metod oraz doświadczeń. Prócz tego dzieło to jest wyczerpane. Ponieważ jednak pęd do tego rodzaju wędkowania jest coraz większym, a nauczanie nowych zwolenników opiera się wyłącznie na „tradycji ustnej“, a właściwie poprostu na podpatrzeniu spinningującego kolegi, uważam za konieczne ujęcie tej metody w pewne zasady i udostępnienie jej ogółowi wędkarzy przez nasze piśmiennictwo. Jest to praca trudna, materiał bar-

ściślejsze zasady dobrego i skutecznego spinningowania.

Całość pracy będzie się składała z dwu głównych części, a to:

I. Sprzęt spinningowy.

II. Metody spinningowania.

Dział pierwszy obejmuje:

- a) rodzaje wędzisk,
- b) kołowrotki,
- c) przynęty,
- d) linki,
- e) montaż spinningu.

Dział drugi obejmuje:

- a) rzuty wędziskiem jednoręcznym,
- b) rzuty wędziskiem dwuręcznym,
- c) uwagi ogólne.

I. SPRZĘT SPINNINGOWY.

A) Rodzaj wędzisk.

Słowo „Spinning“ pochodzi z angielskiego i oznacza przedzenie, wzięte z podobieństwa snucia linki na kołowrotku. „Spinner“ oznacza — prządnik, u nas używane czasem dla oznaczenia błyszczą lub obrotki. Na oznaczenie wędziska spinningowego przyjęło się częściowo określenie polskie „rzutówka“, natomiast na samą metodę łowów, nie mamy polskiego określenia i używamy „spinningowanie“ — „spinningować“.

Wędzisko spinningowe, czyli spinning, ze względu na surowiec z jakiego zostało wykonane możemy podzielić na wędziska:

- klejone,
- tenkinowe,
- bambusowe,
- pełne,
- stalowe,
- ze względu na ciężar, na wędzisko:
 - lekkie,
 - średnie,
 - i ciężkie;

ze względu na metodę spinningowania na wędzisko:

- jednoręczne
- i dwuręczne.

Wędzisko klejone jest najwyższym gatunkiem wędziska spinningowego. Zrobione jest ze specjalnego rodzaju trzciny bambusowej, odpowiednio spreparowanej, następnie ciętej w podłużne konicznie kończące się trójściany klejone w sześć, osiem, dziewięć a nawet więcej części. W wędziskach pochodzenia angielskiego jest prócz tego często w końcówce umieszczony pręt stalowy, który wydajnie zwiększa wytrzymałość wędziska. Bardzo dobrymi okazały się wędziska pochodzenia szwedzkiego, dobrymi są niektóre wędziska przedwojennej produkcji niemieckiej. W końcu, można obecnie już spotkać na rynku klejonki wyrabiane w kraju, które w zupełności mogą zadowolić nasze



Waga — 7 kg. Długość — 95 cm. Miejsce złowienia:

dzo obszerny, dlatego z góry zastrzegam się przed tym, bym był w stanie wyczerpująco podać wszystko co się tyczy tej metody, traktuję tę pracę raczej, jako podzielenie się z kolegami zdobytym doświadczeniem i w każdej chwili, każdą rzeczową uwagę od bardziej doświadczonego kolegi chętnie przyjmę i mogę na jej temat dyskutować. Celem tej pracy jest więc wspólna wymiana i uzgodnienie doświadczeń, by w ten sposób w miarę możliwości stworzyć

wymagania, nieznaną jest jednak jeszcze ich żywotność ze względu na to, że dopiero od trzech lat są produkowane. W okresie tym zdały jednak egzamin ze swej sprawności.

Wędziska tonkinowe są mocne, nadają się jednak raczej na wędziska spinningowe dwuręczne, a to z powodu dosyć wysokiego ciężaru gatunkowego tonkinu.

Wędziska bambusowe są lekkie i tylko jednoręczne, jednak mało wytrzymałe, pękają na kolankach lub przy skówkach.

Wędziska pełne wykonane są z pewnych gatunków drzew, najczęściej z „greenheartu” lub z naszego rodzimego jesionu. Przy kupnie wędziska jesionowego należy zwrócić baczną uwagę na to, by słoje biegingy wzdłuż równoległe, a nie skośnie, co powoduje pękanie wędziska w czasie rybołowania.

W końcu *wędziska stalowe*, wszystkie, jak dotychczas pochodzenia zagranicznego, a więc amerykańskie, angielskie, szwedzkie lub niemieckie, składane z dwu części lub zsuwane teleskopowo, wyprodukowane ze specjalnie ciągniętych rurki stalowych, bardzo wytrzymałe, mają jednak pewne cechy ujemne o których była mowa w poprzednich artykułach „Wiadomości wędkarskich”.

Wędziska spinningowe lekkie składają się z dwu części, a to ze spodka oraz końcówki. Wykonane mogą być z każdego wyżej podanego surowca. Są to wędziska jednoręczne o wadze ca 160—220 gr. długości od 1.0 m. do 1.75. Nadają się specjalnie do połowów pstrąga, okonia oraz mniejszego szczupaka, przy zastosowaniu lekkich błyszczów, gdyż cięższe nadwyrządzają zazwyczaj wiązania i osadzenia skówek. Spodek winien być krótszy cokolwiek od końcówki, ponieważ wtedy punkt szczytowy wygięcia wędziska wypada powyżej osadzenia skówek i w ten sposób rzadko się zdarza by wędzisko tak zbudowane obłuźniło się na skówkach. Wędziska angielskie mają jednak najczęściej obie części równe, jednak odznaczają się bardzo mocnym osadzeniem skówek na specjalnej masie plastycznej produkowanej pod ciśnieniem kilku atmosfer.

Wędziska o wadze średniej. Długość ich waha się między 1.75 m. a 2.10 m., ciężar zaś od 220—300 gr. Są to wędziska dwudzielne, jednoręczne, nadają się do połowów wszelkiej ryby drapieżnej o dowolnej wadze. Specjalne do połowów szczupaka, sandacza, łososia, przy użyciu błyszczów o wadze średniej i cięższej.

W końcu *wędziska ciężkie* dwu i trójdzielne o długości od 1.75 m. wzwyż, wyłącznie dwuręczne do łowów na wszelką rybę drapieżną nadające się do łowów na jeziorach, szerokich rzekach nizinnych oraz na morzu. Waga ich jest różna, dobierana przez wędkującego, jak zresztą i w poprzednich wypadkach, do jego konstytucji fizycznej.

Wszystkie wędziska spinningowe mają umieszczone osadzenie kołowrotka powyżej rękojeści, przy czym powyżej osady kołowrot-

ka znajduje się uchwyt pomocniczy konieczny dla przytrzymania wędziska podczas zwijania linki

Przelotki na wędziskach droższych są z agatu lub agatinu, czyli imitacji agatu, na wędziskach tańszych zaś, stalowe lub z drutu mosiężnego, okrągłe, rzadko wężykowate. Przelotka końcowa oraz początkowa powinny być zawsze agatowe, porcelanowe lub agatinowe, gdyż najbardziej są narażone na tarcie przebiegającej linki. Rozmieszczenie przelotek na wędzisku powinno być tego rodzaju, by linka poprowadzona od kołowrotka do końcówki tworzyła linię prostą przebiegającą środkiem przelotek. W ten sposób unika się hamującego tarcia linki w przelotkach przy wyrzucie.

Wśród wędzisk spinningowych jednoręcznych spotyka się często wędziska jednostajne, bez skówek, o tyle dobre, że w ten sposób jest już rozwiązana kwestia jego stabilności, z drugiej jednak strony, ze względu na ich długość, są niewygodne w transporcie.

B) Kołowrotki.

Do spinningowania nadaje się zasadniczo każdy kołowrotek posiadający śrubę do regulowania oporu bębna, oraz zatrask. Używanie tego czy innego typu kołowrotka zależy w głównej mierze od przyzwyczajenia się do obsługi danego typu. Ponieważ jednak kołowrotek spinningowy pracuje prawie bez przerwy, dlatego powinien posiadać pewne cechy, które będą rękojmią jego długowieczności i sprawności. Kołowrotek taki musi posiadać os z dobrej hartowanej stali, tryby ze specjalnego stopu brązu, bęben centrycznie osadzony by przy obrocie nie rzucał, a przy tym wszystkim powinien być lekkim. Kilkogodzinna praca ciężkim kołowrotkiem, może najzapaleńszego spinningistę zrazić do tej metody. Istniejące kołowrotki dadzą się podzielić na trzy grupy:

- 1) kołowrotki zwykłe t. zw. nottinghamskie
- 2) kołowrotki o szpuli stałej
- 3) kołowrotki z przenośnią, czyli multiplikatory.

Wśród kołowrotek zwykłych odróżniamy tak wielką ilość odmian, że trudno by było wszystkie te odmiany opisać. Zaznaczam tylko, że każdy z nich nadaje się do spinningu, o ile posiada wyżej już wymienione cechy a to: śrubę oporową nastawioną odpowiednio do ciężaru używanego błyszczu, zatrask oraz odpowiednią pojemność linki. Niektóre z tych kołowrotek posiadają jeszcze hamulec służący do zatrzymywania obrotów bębna bezpośrednio po zapadnięciu błyszczu w wodę. Kołowrotki nottinghamskie nadają się do spinningu jedno i dwuręcznego. Są one produkcji angielskiej, szwedzkiej, czeskiej, niemieckiej oraz krajowej. Najlepsze, lecz i najdroższe są angielskie, bardzo dobre czeskie i szwedzkie. Krajowe są przeważnie produkcji chałupniczej.

Kołowrotki o szpuli stałej, posiadają szpulę ustawioną pod kątem prostym do wędziska,

przy czym w czasie wyrzutu przynęty szpula nie obraca się jak przy innych kołowrotkach, lecz linka zsypuje się ze szpuli w kęgach doład, dopóki nie obrócimy korbką, co powoduje przerzut kabłąka nawijającego i momentalne wstrzymanie snucia się linki. W użyciu bardzo wygodne, można po prostu po kilku rzutach opanować ich obsługę, lekkie, zbudowane z różnych stopów posiadają prócz tego szpule wymienne, tak że w każdej chwili możemy odpowiednio do potrzeby zmienić linkę cienszą na grubszą lub odwrotnie. Na froncie szpuli umieszczona jest śruba regulująca opór w czasie holu, tak, że po zaczepieniu ryby cała nasza placca ogranicza się do kręcenia korbką. Jest to więc kołowrotek prawie w zupełności zautomatyzowany i z tych względów posiada wielu przeciwników. Posiada jednak i pewne cechy ujemne a to za małą pojemność szpuli, gdyż linki 0,40 mieści się na nim najwyżej 40 — 45 m. Przyjmijmy, że dokonaliśmy rzutu na odległość 20 m. Po dwu lub trzech metrach prowadzenia bliższa zahaczamy większego szczupaka, który z miejsca szarzuje i wytrąca pozostałą ilość linki, wówczas najczęściej linka pęka, a my siedzimy z pustym kołowrotkiem na środku jeziora. Słyszałem wprawdzie od poważnych wędkarzy o wyciąganiu na Śn.ardwach 16 i 18 kilowych szczupaków na linkę 0,35 przy pomocy tego kołowrotka, ponieważ jednak przypadek podobny nie zdarzył mi się osobiście, więc nie ujmując ich prawdomówności pozwolę sobie w te rzeczy nie wierzyć.

Dalszą ich wadą jest również i to, że nawet przy kołowrotkach wysokiej klasy bardzo często i szybko zużywają się ich drobne precyzyjne części składowe. A więc: najczęściej przecierają się od linki kabłąki nawijające, gubią lub pękają różne drobne sprężynki, śrubki i śrubeczki, sztyfty i sztyfciki i t. p. W niektórych innych, stop z którego są wykonane przy najłżejszym uderzeniu pęka, a o uderzenie takie nad wodą nie trudno, wystarczy tylko poślizgnąć się na brzegu.

Reasumując dotychczas powiedziane, mogę stwierdzić, że są to wprawdzie bardzo precyzyjne i miłe w użyciu kołowrotki, produkcja

ich jednak nie stoi jeszcze na poziomie i dlatego nadają się jedynie do mniej intensywnego łowienia.

Najlepsze gatunkowo są angielskie i szwedzkie, (amerykańskich nie znam), bardzo dobre niektóre czeskie.

Kupując taki kołowrotek, należy jednak zawsze żądać części zapasowych i części te zabierać ze sobą nad wodę.

Multiplikatory. Są to kołowrotki z przenosi- nią, t. zn. jeden obrót korbką powoduje dwu lub czterokrotny obrót bębna nawojowego. Bęben obraca się zazwyczaj w kierunku przeciwnym od obrotu korbki, z wyjątkiem niektórych angielskich, gdzie pomimo przenosi bęben obraca się w tym samym kierunku co korbka (n. p. „Silex Multiplier“). Są to kołowrotki przeważnie o dużej pojemności bębna, tak, że n. p. na multiplikatorze niemieckim o przekroju 65 mm mieści się 75 m damyłu 0,80, na szwedzkim zaś normalnym 100 m nyl-ny lub damyłu 0,50. Jest to już poważny zapas linki o dużej wytrzymałości, który może sprostać każdej sytuacji. W lepszych gatunkach kołowrotków, szpule są osadzone na kamieniach, osie z pierwszorzędnej stali hartowanej, niektóre posiadają specjalne wodziki do układania nawijanej linki, czasem odpowiednie hebelki do przełączania szpuli na wolny bieg przy wyrzucie, dla zaoszczędzenia trybów, wszystkie zaś powinny posiadać śruby regulujące opór szpuli. Najlepsze są szwedzkie i amerykańskie, dobre — niemieckie i angielskie. U nas niestety dosyć słabo rozpowszechnione, a to prawdopodobnie ze względu na pewne trudności w opanowaniu metody rzutu tym kołowrotkiem, o czym będzie mowa w dalszej części niniejszego artykułu. Są to kołowrotki wybitnie spinningowe, mogące sprostać wszelkim wymaganiom, bardzo mocne i trwałe zagranicą, a przede wszystkim w Szwecji, Kanadzie, USA, Anglii i Koloniiach powszechnie używane, na wodach gdzie ryby od 10 do 40 kg nie są rzadkością. Uważam, że każdy poważny spinningista nie używający dotychczas tego rodzaju kołowrotka, powinien jednak zapoznać się z nim, a na pewno będzie z niego bardzo zadowolonym.

d. c. n.

Edmund Stefanowicz

Wędziska klejone czy stalowe?

W związku z artykułem p. Józefa Wyganowskiego w Nr 1. 1948 r. W. W. pod. w. w. tytułem nasuwają się następujące uwagi:

Poruszany przez p. Redaktora temat ma istotne znaczenie dla sportu wędkarskiego, gdyż choć dotyczy pewnego zagadnienia technicznego, stawia nas również wobec pytania: „Czy ten lub inny rodzaj wędziska jest bardziej właściwy pod względem sportowym“, i tę stronę zagadnienia pragnę poruszyć.

Dzisiaj już nie mamy wątpliwości, że węd-

karstwo odpowiednio uprawiane jest sportem, gdyż wielomilionowe rzesze wędkarzy Anglii i Francji oraz wielotysięczne innych państw są żywym tego świadectwem.

Jednym z głównych elementów sportu jest emocja szlachetnej walki, która tym jest silniejsza, im większe szanse ma przeciwnik, a więc im większe istnieje ryzyko, lub im wynik osiągnany jest bliższy granic możliwości w danym zakresie.

Im delikatniejszy montaż wędki, tym prze-

ciwnik — ryba ma większe szanse, tym większe ryzyko ponosi wędkarz. Jeżeli złowienie szczupaka o wadze dziesięciu kg dwuręczną rzutówką spinningową przy odpowiednio silnym montażu nie jest specjalnym wyczynem, to złowienie takiej samej ryby lekką rzutówką o delikatnym montażu jest osiągnięciem, które pozostaje w naszej pamięci przez całe życie.

Poszczególnych wędkarzy emocjonują różne osiągnięcia w sposób nader różnorodny. Pewnym wędkarzom wystarczy dla ich zadowolenia złowienie pewnej ilości lub i jakości ryb przy użyciu sprzętu możliwie tylko wygodnego i skutecznego (jeden wędkarz będzie określał tę ilość w sztukach, inny w kilogramach, a jakość w wielkości lub gatunkach ryb). Inni poza faktem złowienia ryby w pewnej ilości lub jakości wymagają, by pozyskanie zdobyczy odbyło się w określony sposób.

Jeżeli przyjmiemy słuszną zasadę, że nie ilość i jakość złowionych ryb stanowi o sportowej klasie wędkarza, a jego zachowanie się nad wodą, sposób polowu i jakość używanego sprzętu, to automatycznie powstaje również pytanie postawione przez p. Wyganowskiego „Wędzisko klejone, czy stalowe?”

Ponieważ ten sam stopień emocji poszczególni wędkarze osiągają w różny sposób wędkowania, a przy tym samym sposobie łowienia różnym sprzętem, trudno jest w ogóle ustalić generalnie właściwy typ rzutówki, można tylko stwierdzić słuszną zasadę, że stopień emocji i zadowolenia wzrasta w miarę stosowania delikatniejszego sprzętu. Oczywiście uwaga ta nie może dotyczyć tych wędkarzy, którzy wędkują wyłącznie w celu zdobycia ryby, lub takich „sportowców”, którzy łowią ryby wędką, gdyż nie mogą łowić siecią, ością, sznurami, materiałem wybuchowym, trucizną itp.

Niejednokrotnie daje się zaobserwować, że na ogół każdy wędkarz zdaje sobie sprawę, iż wędkowanie sprzętem tylko specjalnie mocnym i wytrzymałym, pozwalającym na forsowne holowanie ryb „na pewniaka” nie jest istotą sportu. Zdają sobie z tego sprawę nawet ci wędkarze, którzy „leca”, tylko na złowienie możliwie największej ilości ryb.

Świadczy o tym fakt, że nieraz z podziwem, a nawet z pewną zazdrością spoglądają oni na sprzęt swych kolegów, który wydaje się kruchą zabawką wobec kilku — lub kilkunastokilogramowej ryby.

Dzieje się to dlatego, gdyż w rękach sprawnego wędkarza ta krucha zabawka wychodzi z wycięskio w spotkaniu z najsilniejszym przeciwnikiem. Uznanie dla sprzętu delikatnego rodzi się z przeświadczenia, że skuteczne władowanie nim jest większą sztuką niż sprzętem nie narażającym wędkarza (pominam tu moment pewnej elegancji i solidności sprzętu, gdyż mo-

ga one dotyczyć tak sprzętu specjalnie mocnego oraz wytrzymałego jak i delikatnego).

Poruszając niniejszy temat nie można jednak pominąć faktu, że wszelka przesada w doborze sprzętu, a więc używanie sprzętu nadmiernie delikatnego, jak i nadmiernie mocnego, jest niewłaściwa. Zasadniczo sprzęt winien być dostosowany do wielkości i gatunku łwionej ryby (leż samej wielkości ryby odmiennych gatunków różnie zachowują się na wędce) oraz warunków terenowych.

Dla osiągnięcia większej emocji i zadowolenia z pokonywanych trudności w pewnych warunkach może być celowym świadome zwiększanie ryzyka wędkarza — dawanie większych szans przeciwnikowi — rybie. W innych warunkach polów jest bardzo ryzykowny dla wędkarza (dla sprzętu), a więc tam przeciwnik ma większe szanse i wędkarz jest zmuszony swoje ryzyko ograniczyć, używając mocniejszego sprzętu.

Np. wiemy, że znacznie mocniejszego sprzętu wymaga łwienie lososia niż szczupaka, a przy polowie tego ostatniego na górkach i spadach rozległych wód, zdala od przeszkód, mogących spowodować splątanie i zaczepienie się wędki, sprzęt może być w znacznym stopniu słabszy niż w odwrotnej sytuacji.

Uwagi te prowadzą do wniosku, że na wszelkie sprawy wędkarskie należy zabierać ze sobą co najmniej dwa komplety rzutówek o różnej wytrzymałości, gdyż w czasie wędkowania możemy mieć różne warunki terenowe.

Ze względu na to, iż — jak podaje p. Redaktor Wyganowski — wędziska stalowe są wytrzymalsze, trwalsze i tańsze, nie ulega wątpliwości, iż mają wielkie szanse wyprzeć z rynku wędziska klejone; nie ulega jednak również wątpliwości, że wielu wędkarzy pozostanie wiernych rzutówce klejonej, tej „kruchej zabawce”, która wymaga troskliwej opieki, delikatniejszego traktowania, dużej ostrożności i cierpliwości, jak również odpowiedniej umiejętności obchodzenia się z nią w czasie wędkowania.

Dzisiaj, ponieważ jesteśmy bardzo biedni wskutek zniszczenia kraju wojną, z konieczności każdy niemal wędkarz będzie zmuszony ograniczyć się do tańszego wędziska stalowego, zachowując wdzięczne wspomnienia o ominiętej romantycznej erze rzutówki klejonej.

Na zakończenie pragnę podkreślić istotną wartość rzutówki klejonej.

W ubiegłym sezonie złowiłem lekką rzutówką (wagi 185 gramów) ponad 300 kg szczupaków i okoni, w tym kilkanaście egzemplarzy w granicach 4 — 8 kg (jeden ponad 10,5 kg). Rzutówka ta ma za sobą już dłuższy okres służby i zachowuje się dotychczas bez zarzutu.

Inż. S. Dowhyłuk.

Pstrąg spod Krakowa zawędrował pod Snieżkę

(Zdjęcia do tego artykułu wewnątrz numeru).

Prezes nasz, w przelocie do swojego biura, wpadł do sekretariatu i zastał sekretarkę nad karteczką o następującej treści::

2 kg kielbasy,

4 chleby

1 litr wódki

100 papierosów „Triumf”,

zaprawka do wódki (męska),

mały słoik musztardy,

1 film 6 x 9.

— Co to? — zapytał.

— Przygotowania do niedzielnego zarybiania Małego i Dużego Stawu... — poinformowała go panna Aniela, sekretarka Towarzystwa Wędkarskiego w Jeleniej Górze. — Wyprawa ma trwać cały dzień. Oprócz kilku członków, którzy zgłosili się na ochotnika, będzie tam trzech naszych strażników. Wpuszczenie narybka pstrąga tęczowego odbędzie się w niedzielę, bo wtedy wszyscy mają czas.

★

Potrzebny narybek przygotował inż. Stanisław Leo, kierownik stacji zarybieniowo-doswiadczałnej w Podgórzynie koło Jeleniej Góry. Zaoczkowaną ikrę sprowadził spod Krakowa i z minimalną stratą wyhodował piękne nowe pokolenie.

Narybek i palczaki pstrąga potokowego Tow. Wędkarskie w Jeleniej Górze wpuszczają już trzykrotnie do potoków górskich Karkonoszy, w ciągu ostatnich trzech lat, ale wysadzenia narybku pstrąga tęczowego (*salmo irideus*) dokonano w Karkonoszach, w tym roku, po raz pierwszy.

★

Zarybienie odbyło się według programu. Część narybku umieszczono w Dużym Stawie, położonym na wysokości 1225 metrów n.p.m. i posiadającym powierzchnię 9 ha. Reszta powędrowała do Małego Stawu, koło schroniska



„Samotnia”, u stóp Snieżki. Kilkugodzinna podróż wozem i dźwiganie w rękach drogą górską niedostępną już dla koni narybek zniósł doskonale. Oczywiście kilkakrotnie zmieniano mu wodę. Z zabranych zapasów pozostał tylko kawałek chleba.

★

Niemcy w swoim czasie zarybiali Mały Staw, t. zn., że niemiecki właściciel dzisiejszej „Samotni” dzierżawił staw i corocznie wpuszczał tam narybek pstrąga tęczowego, którym — gdy dorósł — karmił swych restauracyjnych gości. Natomiast Duży Staw, odznaczający się tym, iż nie posiada widocznego odpływu, nie był przez Niemców zarybiany, rzekomo z powodu zbyt niskiej temperatury wody i zbytnej głębi (największa — 23 metry). Jednak nie wiadomo, czy to prawda, bo są w Jeleniej Górze wędkarze, którzy przysięgają, że widzieli tam czarne pstrągi długości pół łokcia, ale juchy nie brały ani na błyszcz, ani na muchę.

Ponieważ należy wierzyć wędkarzom, gdy mówią o rybach, których nie złowili, więc Zarząd Tow. Wędkarskiego w Jeleniej Górze zaryzykował i wpuścił narybek pstrąga tęczowego do Dużego Stawu.

Za kilka lat będzie się można przekonać, co z tego wyniknie.

sb.

KUPIĘ egzemplarze „Wiadomości Wędkarskich” nr 1 z 1936 r., nr nr 2, 3, 4, 5, 6 i 7 z 1938 r. oraz nr nr 4, 5, 6 i 7 z 1938 r. Zgłoszenia do Redakcji „Wiadomości Wędkarskich” dla R. L.

KUPIĘ wędzisko muchowe, z kołowrotkiem, angielskie firmy „Hardy”, na pstrągi. Wiadomość proszę nadesłać do Redakcji „WW” dla D. W.

Adres Redakcji: Warszawa, Mokotowska 46 m. 17; Administracji: — Rozbrat 10. Konto czekowe B. G. K. Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Nr. 1212.

Wydawca — Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Redaktor — Adw. Józef Wyganowski.

Cena egzemplarza 35 zł. Dla wędkarzy zrzeszonych w Związku 25 zł. Cena w prenumeracie dla niezrzeszonych 420 zł. rocznie.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona okładki lub za tekstem: $\frac{1}{4}$ — 10.000 zł., $\frac{1}{2}$ — 8.000 zł., $\frac{3}{4}$ — 6.000 zł., $\frac{1}{8}$ — 4.000 zł., $\frac{1}{16}$ — 2.000 zł. — Za ogłoszenia w tekście drożej o 50%. Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem po 10 zł. za wyraz; grubym drukiem po 20 zł. za wyraz.

Za dział ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów, rysunków, fotografii itp. Ponadto Redakcja zastrzega sobie prawo robienia zmian w nadesłanych rękopisach, poprawek itd.